

DYSKUSJA WOKÓŁ KSIĄŻKI RAFAŁA STOBIECKIEGO,
*HISTORIOGRAFIA PRL. ANI DOBRA, ANI MĄDRA, ANI PIĘKNA...
ALE SKOMPLIKOWANA**

EWA DOMAŃSKA
Poznań

Nie ma historii bez historiografii. Nie ma wiedzy o motywach i sposobach tworzenia różnych wizji naszej przeszłości bez wiedzy o funkcjach, jakie spełnia historiografia jako narzędzie ideologiczne na usługach władzy. Rozpatrzenie związków istniejących między wiedzą i władzą oraz roli, jaką odgrywa w nich historyk zarówno jako współtwórca, jak i wypadkowa owych relacji, stanowi cel książki Rafała Stobieckiego.

Podjmując tę trudną problematykę Autor nie zamierza rozliczać się ze środowiskiem historycznym, chodzi mu raczej o usystematyzowanie wiedzy na ten temat. Nie chce być ani oskarżycielem, ani obrońcą, ani sędzią. Stobiecki należy do badaczy wnikliwych i wyważonych; stara się być postronnym obserwatorem, który w swych interpretacjach kieruje się intencją zachowania obiektywności. Jego postawa ma charakter koncyliacyjny, choć nie chodzi mu o nakreślenie „grubej kreski”. Można powiedzieć, że kwestia ideologizacji historii jest w tej książce nie tylko problemem historyków tworzących w okresie PRL-u, lecz także problemem samego Autora. Rozważania nad przeszłością narzucają pytanie: jak zachowują się historycy dzisiaj w obliczu prób upolitycznienia czy nawet upartyjnienia nauki historycznej? Wykorzystanie sytuacji, przystosowanie, neutralność czy opór? Czyż nie przed takim właśnie dylematem (choć rzecz jasna w innych realiach politycznych) stawali historycy w PRL? Dlatego też prócz rozdziałów syntetyzujących zjawiska, Autor *Historiografii PRL* poszukuje także konkretnych doświadczeń, typologii postaw, które prześledzić można na podstawie zamieszczonych w książce studiów biograficznych Aleksandra Wata, Witolda Kuli, Żanny

* R. Stobiecki, *Historiografia PRL. Ani dobra, ani mądra, ani piękna... ale skomplikowana. Studia i szkice*, Warszawa 2007, Trio, ss. 363.

Kormanowej i Henryka Wereszyckiego. Ich losy pokazują trudne egzystencjalne wybory, które wytrącają z białoczarne sposobu widzenia świata, wprowadzając ambiwalencję, nakazując ostrożne interpretacje i powstrzymywanie się od ocen. Stobiecki zdaje się wskazywać, że uczymy się nie od historii, ale od historyków i kiedy deklaruje, że dyskusję na temat historiografii PRL prowadzić należy nie po to, aby oskarżać, lecz „by doświadczenia płynące z czasów ubezwłasnowolnienia historii i historyków stały się ostrzeżeniem, przestrogą, tematem do refleksji dla następnych pokoleń historyków” (s. 21), to — jak sądzę — ma na myśli właśnie studiowanie postaw i ludzkich wyborów podejmowanych w trudnych sytuacjach.

Autor chciałby móc widzieć świat w kategoriach logiki dwuwartościowej, co uwidacznia się w często stosowanych przez niego „podziałach na dwa”. A więc na przykład: w dyskusji dotyczącej historiografii PRL można wyróżnić dwa zasadnicze wątki (s. 9); mamy do czynienia z dwoma tradycyjnymi wizerunkami historyka (s. 302–303); w środowisku historyków zauważalne są dwie postawy wobec metodologii (s. 306) itd. Stobiecki jednak dobrze wie, że logika uczy krytycyzmu i chroni przed dogmatyzmem, jednak nie pomaga wyjaśnić ambiwalencji świata. Zdaje sobie sprawę, że kwestia skomplikowanych uwikłań wiedzy i władzy jest w swej złożoności konkretnych przypadków nieprzedstawialna, i daje temu wyraz w często powtarzanym zwrocie: „ryzykując pewne uproszczenie można stwierdzić” (s. 119, 318, 322). W książce zauważalne są zatem zmagania Autora, który z jednej strony próbuje trzymać się merytorycznych badań i zasady obiektywizmu, a z drugiej deklaruje, że „powinniśmy sobie wyraźnie uświadomić, że to, jak postrzegamy siebie, jakich bronimy wartości, determinuje naszą wizję przeszłości” (s. 306). Zatem obiektywność, ale nie neutralność; nauka i życie (dylematy egzystencjalne). Stobiecki poszukuje dialektycznej syntezy między nimi, co nadaje książce ciekawy etyczny podtekst.

Łódzki historiograf ma rację, że powinniśmy na nowo zdefiniować rolę historyka, co związane jest, jego zdaniem, ze zmianą dotychczasowego stosunku do przeszłości (s. 304–305). Autor nie podaje żadnej definicji, natomiast wskazuje na społeczną potrzebę powtórnego zakorzenienia w przeszłości na zupełnie nowych zasadach (s. 313). Jego intencją jest, jak sądzę, ukazanie roli historyka nie jako eksperta czy urzędnika, sędziego, oskarżyciela czy obrońcy, ale jako uważnego obserwatora i krytyka zranionej kultury, która wymaga zarówno wsparcia (zwrócenia uwagi na chwalebne sceny naszej historii i budowanie wspólnoty dumy), jak i wytknięcia zdarzeń niegodnych (akceptacja wspólnoty hańby). Zatem pełni on funkcję „społecznego terapeuty”, który próbuje zmobilizować pacjenta do opowiedzenia swojej historii, a potem wskazuje na możliwości różnych jej interpretacji, tak aby ten zobaczył wydarzenia w zupełnie innym świetle, co w konsekwencji pomaga w oswojeniu negatywnej przeszłości.

Przy takim podejściu do roli badacza przeszłości, zasadniczy staje się problem zaufania społecznego wobec historyków, stanowiący jedną

z podstawowych kwestii, która wyłania się po przeczytaniu pracy Stobieckiego. Zaufanie owo zostało ostatnio nie tylko w Polsce, ale i na świecie nadwerżone, co można uznać za efekt drastycznego upolitycznienia historii, które z kolei w wielu krajach jest jednym z symptomów „postkolonialnych następstw”. Wyzwolone wspólnoty poszukują nowych mitów fundacyjnych, próbują odzyskać tożsamość, odwołując się do specjalnie spreparowanych na ten użytek wizji przeszłości; cechuje je specyficzna podejrzliwość wobec kolonialnych mocarstw oraz strach przed powtórnym zawłaszczeniem, co prowadzi do odradzania się nacjonalizmów. W takiej sytuacji historycy często stają się „państwowymi funkcjonariuszami”, a to kwalifikuje ich pracę jako produkowanie pożądanego przez dominującą władzę obrazu przeszłości. Receptę na taką sytuację Stobiecki zdaje się widzieć właśnie w postulowanej przez niego, a wspomnianej wyżej, zmianie roli historyka.

Napisanie książki takiej jak *Historiografia PRL* samo w sobie jest aktem reparacji, który wynika być może z bardziej czy mniej uświadomionego poczucia współodpowiedzialności za efekty ideologizacji historii w PRL. Jest też znakiem, że wychodzimy z okresu widzenia naszej przeszłości w kategoriach traumy oraz prostego podziału na ofiary i katów, a wchodzimy w czas reparacji i pojednania z (dobrą i złą) przeszłością. Praca Rafała Stobieckiego z pewnością do tego procesu się przyczyni.

MACIEJ GÓRNY

Warszawa, Berlin

Nowa książka Rafała Stobieckiego jest warta uwagi już choćby z tego względu, że refleksja nad stanem rodzimej historiografii pojawia się u nas rzadko. Ma jednak jeszcze kilka innych zalet. Po pierwsze, wychodzi poza nasze opłotki, porównując historiografię PRL z historiografią radziecką, a także — chociaż w znikomym stopniu — z innymi ludowymi demokracjami. Po drugie, nie ogranicza się do najbardziej „malowniczego” okresu stalinowskiego, ale analizuje sposób uprawiania naszego fachu także po 1956, a nawet po 1989 r. Po trzecie, w dobrej tradycji łódzkiej szkoły historii historiografii, interesuje się zarówno dziejami instytucjonalnymi, biografiami historyków i polityką władz, jak i treścią dzieł historycznych. Wreszcie po czwarte, unika łatwych ocen, starannie wazy za i przeciw, stara się raczej zrozumieć, niż ocenić.

Historiografia PRL. Ani dobra, ani mądra, ani piękna... ale skomplikowana daje czytelnikowi to, co obiecuje nieco przydługi, zapożyczony z tekstu Marcina Kuli, podtytuł: zróżnicowany, wielopłaszczyznowy obraz głównie marksistowskich nauk historycznych. Stobiecki przeciwstawia się takiej interpretacji okresu komunistycznego, zgodnie z którą „oni” — grupa działaczy partyjnych importowanych z ZSRR — ciemnęli środowisko i niszczyli jego dorobek. Autor zwraca uwagę, że ani grupa

„partyjna” nie była jednolita, ani reszta środowiska nie stała się tylko jej ofiarą. Przyjmuje tezę, zgodnie z którą marksistowskie interpretacje dziejów narodowych w krajach bloku wschodniego obficie czerpały z dorobku miejscowych nacjonalistów. Za Zbigniewem Romkiem zauważa, że poszukiwanie tzw. postępowych tradycji rewaloryzowało część narodowych świętości, dając im świadectwo zgodności z obowiązującą doktryną. System kontroli partii nad naukowcami oraz funkcjonowanie cenzury zostały przez Stobieckiego ukazane w ich „ludzkim” wymiarze. Polscy historycy nie mieli do czynienia jedynie z bezduszną machiną partyjno–państwową. Za instytucjami stali ludzie, kadry się zmieniały i zawsze pozostawała jakaś przestrzeń nieoficjalnych negocjacji. Wszystkie te spostrzeżenia są na naszym gruncie świeże, choć na przykład w badaniach nad historiografią NRD pojawiły się już jakiś czas temu¹.

W tym kontekście zaskakująca wydaje się analiza jednego z najważniejszych konfliktów historiograficznych lat pięćdziesiątych pomiędzy Marianem H. Serejskim z jednej a Niną Assorodobraj–Kulową i Celiną Bobińską z drugiej strony. Według Stobieckiego był to atak na podjętą przez Serejskiego próbę pozytywnej oceny liberalnej historiografii (Karola Boromeusza Hoffmana), atak podjęty przez „najbardziej dogmatycznych zwolenników stalinizacji polskiego dziejopisarstwa” (czyli obie historyczki). Tymczasem dyskusja toczyła się między blisko związanymi z partią historykami–marksistami, a przedmiotem krytyki Assorodobraj i Bobińskiej nie były liberalne sympatie Serejskiego, lecz jego teza, jakoby Hoffman był z marksistowskiego punktu widzenia bardziej postępowym historykiem niż Joachim Lelewel. Właśnie w zgodzie z zaproponowanym przez Romka i Stobieckiego modelem „postępowych tradycji” jako sposobu na łączenie narodowego z rewolucyjnym, należałoby zinterpretować ten spór jako starcie dwóch interpretacji „postępowych tradycji” historiografii polskiej XIX w. Nie miało większego znaczenia, czy w jego wyniku za bardziej „marksistowskiego” uznano by Hoffmana czy Lelewela, i nie na tym, którego z nich by wybrano polegała stalinizacja historiografii. Diabeł tkwił tu raczej w samej konieczności dokonywania takiego wartościowania, włączania historii w czarno–biały, postępowo–reakcyjny schemat. Wszyscy uczestnicy analizowanej przez Stobieckiego dyskusji postępowali zgodnie z tym właśnie schematem.

Na marginesie rozważań nad historiografią powojennej Polski Stobiecki stawia ważne pytania dotyczące metodologicznego wpływu marksizmu i długofalowych efektów jego wymuszonego przyjęcia przez większość badaczy. Uwagę czytelnika przyciąga w tym miejscu teza, zgodnie z którą właśnie marksizm ułatwił polskim historykom współpracę i kulturowy

¹ Por. przede wszystkim prace i wypowiedzi Martina Sabrowa: M. Sabrow, *Die DDR–Geschichtswissenschaft im Spiegel ihrer Gutachtenpraxis, w: Geschichte als Argument. 41. Deutscher Historikertag in München, 17. bis 20. September 1996. Berichtband*, red. S. Weinfurter, F. M. Siefarth, München 1997; M. Sabrow, *Der „ehrliche Meinungsstreit“ und die Grenzen der Kritik. Mechanismen der Diskurskontrolle in der Geschichtswissenschaft der DDR*, w: *Die Mauern der Geschichte. Historiographie in Europa zwischen Diktatur und Demokratie*, red. G. Corni, M. Sabrow, Leipzig 1996; M. Sabrow, *Das Diktat des Konsenses. Geschichtswissenschaft in der DDR 1949–1969*, München 2001.

transfer dorobku szkoły „Annales”. Temat powraca w szkicu poświęconym Witoldowi Kuli: Stobiecki stwierdza, że dzisiejsza historiografia polska cierpi na uwiąd myśli metodologicznej, szczególnie dotkliwy w sferze praktycznego zastosowania jakiejkolwiek teorii. Nie bez wpływu na ten stan rzeczy jest dziedzictwo systemu komunistycznego, który, jak się często powtarza, skompromitował nie tylko marksizm, ale i teorię jako taką.

Stobiecki zauważa elementy ciągłości w rozwoju polskiej historiografii, konstatując np. jej niezmiennie prowincjonalne stanowisko, wyrażające się w importowaniu, czy to z zachodu, czy też ze wschodu, pomysłów metodologicznych. W tym kontekście trudno oprzeć się wrażeniu, że kompromitacja marksizmu przyniosła polskiej historiografii więcej szkody niż pożytku. Ostatni polscy historycy cieszący się rzeczywiście międzynarodowym uznaniem i występujący w kompendiach historii historiografii to W. Kula i Marian Małowist, a także — jak dodaje Stobiecki — Leszek Kołakowski (skądinąd ten ostatni uznanie jako historyk zdobył przecież ze względu na swoje badania nad historią marksizmu).

Ostatnim wielkim tematem książki Stobieckiego jest „dekomunizacja” polskiej historiografii po 1989 r. Analiza większości ocen PRL prowadzi do smutnego wniosku, że polityczna ideologizacja bynajmniej nie zakończyła się wraz z upadkiem komunizmu. Stobiecki zauważa, że „Paradoksalnie historycy będą na nią narażeni tym silniej, im częściej deklarować będą swoją niechęć do jakiejkolwiek metodologii, pozostając świadomie bądź nie w świecie «czystej», «obiektywnej» historii” (s. 136). Doprawdy trudno o optymizm w sytuacji, gdy w pracach poświęconych historii PRL „dominuje przedpozytywistyczny kult faktu” (s. 307), a „przezwyciężanie” przeszłości w sferze publicznej polega na zamianie znaków i eliminacji całej polskiej tradycji lewicowej. Kilka cierpkich słów pada w *Historiografii PRL* pod adresem badaczy związanych z Instytutem Pamięci Narodowej. To właśnie doświadczenie historyka historiografii polskiej jednego z najsmutniejszych okresów jej istnienia upoważnia Stobieckiego do uwag o historykach, którym nie wolno wzorować się na prokuratorach, dążących do stwierdzenia przestępstwa i wykrycia sprawy. Praca historyka wymaga nieco więcej empatii.

Sposób, w jaki Stobiecki patrzy na historię i historiografię powojennej Polski, wprowadza porządek w chaos ocen dotyczących tej wciąż bardzo bliskiej historii. Historyk potrafi oddzielić różne sfery nauki, które w dzisiejszych ocenach PRL często zlewają się w jedno. Przede wszystkim pokazuje, że słuszna krytyka komunistycznej dyktatury nie powinna utożsamiać ocen moralnych z ocenami fachowymi. Dorobek polskiej historiografii okresu PRL, choć oczywiście nie jest w żadnej mierze zasługą PZPR, jest nie do przecenienia, zwłaszcza jeśli porównać go z dzisiejszym stanem naszych nauk historycznych. PRL nie odizolował też historiografii polskiej od świata (z wyjątkiem kilkuletniego okresu stalinowskiego). To poważny temat, będący też w jakimś stopniu problemem dzisiejszego stanu polskiej historiografii. Tymczasem walka z PRL-em odbywa się u nas często pod starymi bogoojczyźnianymi hasłami, które — jakkolwiek by je cenić — nie są narzędziem analitycznym.

MAREK KORNAT

Warszawa

Książka Rafała Stobieckiego *Historiografia PRL. Ani dobra, nie mądra, ani piękna... ale skomplikowana*, jak łatwo zauważy każdy czytelnik, nie jest monografią zawartego w tytule problemu, ale zbiorem studiów powiązanych ideą ukazania historiografii polskiej po 1945 r. w nowym świetle. Ten stan rzeczy zwalnia Autora książki z obowiązku tłumaczenia, dlaczego te lub inne wątki wyeksponował, a inne pominął. Zajmując się dziejami polskiej myśli historycznej, zgromadził w jednym tomie różne studia, referaty konferencyjne i rozważania powstałe na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat (1997–2007), spośród których większość była już publikowana w różnych miejscach. Tytuł książki wyraźnie nawiązuje do tekstu Marcina Kuli, opublikowanego w „Tygodniku Powszechnym” w debacie wokół bilansu PRL: *Nieboszczka PRL. Ani dobra, ani mądra ani piękna... ale skomplikowana*¹.

Stwierdzeniem wyjściowym R. Stobieckiego jest podkreślenie, że po 1989 r. zabrakło w środowisku historyków polskich rzetelnego rozrachunku z epoką PRL. Za wyjątek Autor uznaje artykuł Stefana Kieniewicza *Rachunek sumienia*, drukowany w „Tygodniku Powszechnym” (nr 51–52) w grudniu 1989 r. Artykuł ten przeszedł wszakże bez żadnego echa. Długo jeszcze zapewne będziemy się zastanawiać, dlaczego rozliczeniowa dyskusja nie doszła do skutku. Nie sposób nie zgodzić się z autorem w jego konstatacjach dotyczących braku rozrachunku historyków z minioną epoką, ale z pewnością, podejmując rozważania nad położeniem nauki historycznej w dobie pięćdziesięciolecia Polski Ludowej, stajemy nie tylko wobec problemów oceny etycznej ludzkiego postępowania, lecz również wobec paru zasadniczych pytań, a odpowiedzi na każde z nich wymagałaby obszernych rozważań. Do jakiego stopnia historiografia powojenna, funkcjonująca w realiach uzależnienia państwa polskiego od ZSRR, kontynuowała przedwojenne tradycje polskiej nauki historycznej? Innymi słowy — jaki był zakres zerwania, a jaki kontynuacji? Jeśli sprecyzujemy, że pytanie to w znacznej mierze dotyczy historiografii gospodarczej, oraz jeśli założymy, iż chodzi tu o kontynuację nie tyle w podobieństwie interpretacji określonych problemów, ile w podejmowaniu tych samych pytań badawczych — to odpowiedź na nie wydaje się zajmująca i nieprosta. Innym doniosłym zagadnieniem jest próba oceny, jak wypada wizerunek polskiej nauki historycznej na tle porównawczym historiografii innych państw bloku wschodniego. Nie mniej ważne byłoby szczegółowe, ilustrowane konkretnymi przykładami, rozważenie w jakiej mierze historiografia polska (popaździernikowa) czerpała inspirację z nauki historycznej na Zachodzie (np. z dokonań „szkoły Annales”). „Odmienność Polski — argumentuje słusznie

¹ Tekst został włączony do wydanego przez „Znak” tomu: *Spór o PRL*, wstęp P. S. Wandycz, Kraków 1996.

Stobiecki — polegała na tym, że po 1956 roku w praktyce odrodził się pluralizm metodologiczny i że coraz wyraźniej dawały znać o sobie dążenia, w tym przypadku widoczne także w innych krajach łącznie z ZSRR, do rewizji ortodoksyjnej, przepojonej ideologią wersji marksizmu. Doprowadziło to w praktyce do powstania dwóch marksizmów — oficjalnego i rewizjonistycznego” (s. 66). Dodać należy, że atrakcyjność historiografii polskiej na arenie międzynarodowej po roku 1956 była znaczna. Z tym zagadnieniem wiąże się jeszcze jedna kwestia, której rozstrzygnięcie nie jest łatwe, ale trzeba ją postawić. Zawiera się ona w pytaniu, czy marksizm wniósł do polskiej nauki historycznej coś pozytywnego, czy też był czynnikiem tylko destrukcyjnym. Warto przypomnieć w tym kontekście stwierdzenie Andrzeja Wyczańskiego, że marksizm — przy wszystkich błędach i ideologicznych uproszczeniach — wnosił coś istotnego, tj. „całościowe i racjonalne ujmowanie procesu historycznego”². Oczywiście pytanie to winno być dzisiaj postawione na nowo.

Innym zagadnieniem dużej wagi — które długo jeszcze będzie przedmiotem rozważań — jest pytanie o stosunek wzajemnych dwóch pojęć: „historiografia w PRL” a „historiografia urzędowa PRL”. Książka Stobieckiego, w której tytule użyto określenia „historiografia PRL”, dodatkowo zdaje się uzasadniać potrzebę rozważań wokół tego pytania. Z całą pewnością występowało w polskiej nauce historycznej okresu PRL zjawisko „historiografii urzędowej”, historiografii pojętej jako służba ideologicznym celom władzy. Ale to, że nie można tego fenomenu utożsamiać z całą nauką historyczną w Polsce, nawet w najciemniejszym okresie stalinizmu — nie powinno ulegać wątpliwości. Oczywiście R. Stobiecki ma pełną świadomość, że obydwu tych zjawisk utożsamiać nie można, jednak tytuł jego książki zmodyfikowany na: „historiografia w PRL” — wydawałby się bardziej adekwatny do treści.

Zagadnieniem, do którego analizy skłania książka Stobieckiego — chociaż Autor nie podejmuje nad nim osobnych rozważań — jest pytanie o to, jak kształtowała się polska nauka historyczna po przełomie Października 1956 na tle położenia historiografii innych państw bloku wschodniego. Warto w tym miejscu odwołać się do słów Witolda Kuli, który zauważył, iż Październikowi zawdzięczamy świetny rozwój humanistyki polskiej, i w słowach tych nie było pustej retoryki. Andrzej Walicki pisał jakże trafnie o zapoczątkowanym w 1956 r. długotrwałym procesie rozkładu totalitaryzmu. Wiadomo oczywiście, że w Związku Sowieckim proces ten był dużo bardziej złożony i mniej jednoznaczny niż w Polsce. W Polsce wszakże okazał się on najbardziej dogłębny i konsekwentny, chociaż — podkreślmy — reformy instytucjonalne, zmiany w dziedzinie ustroju politycznego PRL po 1956 r. były dość ograniczone. Co jednak dużo ważniejsze, „dokonał się moralny pogrzeb komunistycznej mitologii” — jak pisał Leszek Kołakowski³. Prawdą jest,

² A. Wyczański, *Badania historyczne nad okresem XVI–XVII w.*, KH 94, 1987, 1, s. 91.

³ L. Kołakowski, *Śmierć bogów*, w: idem, *Pochwała niekonsekwencji. Pisma rozproszone z lat 1955–1968*, Londyn 1989, s. 109.

że w historiografii popaździernikowej funkcjonowały nadal pewne konstrukty i stereotypy wytworzone w okresie stalinizacji polskiej nauki historycznej (np. koncepcja „szlacheckiego rewolucjonizmu”, którą posługiwano się w studiach na dziejami porozbiorowymi Polski). Stobiecki pisze o „częściowym rozliczeniu” (s. 128) ze stalinowskim dziedzictwem po 1956 r. Nic jednak nie może nam przesłonić tej prawdy zasadniczej, że nastąpił „rozpad marksistowskiego, raczej zresztą leninowsko–stalinowskiego światopoglądu naukowego” — jak to ujął Andrzej Mencwel⁴. Zjawisko kapitulacji wobec „nowej wiary”, przejmująco opisane przez Czesława Miłosza w *Zniewolonym umyśle* — po roku 1956 zniknęło⁵. Książka Stobieckiego wnosi do tych zagadnień wiele interesujących spostrzeżeń i poddaje analizie znaczący materiał erudycyjny. Zgodzić się trzeba również ze stwierdzeniem autora że „stalinowski model nauki historycznej nie miał swoich narodowych wariantów” (s. 66), z takim tylko zastrzeżeniem, iż tego, co uprawiano i propagowano przed rokiem 1956, nie sposób nazwać nauką historyczną, była to ideologia, na której użytek służebne funkcje pełniła wiedza o przeszłości.

Obok studiów poświęconych Konferencji Metodologicznej w Otwocuku czy szerszych rozważań wokół relacji „marksizm–historiografia”, zwracają naszą uwagę trzy szkice biograficzne, poświęcone trzem postaciom polskiej nauki historycznej doby powojennej: W. Kuli, Żannie Kormanowej i Henrykowi Wereszyckiemu. Portrety te służą w zamierzeniu Autora egzemplifikacji modelowych postaw wobec rzeczywistości PRL. Kormanowa reprezentuje to, co trzeba nazwać służbą oficjalnej ideologii, historiografii urzędowej. Kula wyraża najlepiej postawę historyka, który marksizm potraktował poważnie, sięgając do zasad materializmu historycznego, zachowując zarazem niezawisłość wobec ideologii i nowatorstwo poszukiwań badawczych. Wereszycki natomiast wymownie uosabia postawę historyka kontynuującego wielką szkołę badań nad tym, co nazywamy „sprawą polską” w Europie XIX w., szkołę zapoczątkowaną przez Marcelego Handelsmana. Pozostał zarazem wierny tradycji polskiego niepodległościowego socjalizmu, co miało swoją cenę. Wydaje się, że te przypadki przybliżają nas jakoś do zrozumienia postaw historyków polskich wobec władzy, które oscylowały „między zachwytem a oporem”.

Książka Stobieckiego przynosi sporo refleksji wokół odpowiedzialności historyków polskich za proces stalinizacji polskiej nauki historycznej. Z tej też rozrachunkowej motywacji wyrastają rozważania Autora, chociaż są one rozproszone w różnych tekstach zgromadzonych w tym tomie. „Jest rzeczą nie podlegającą dyskusji, że historycy polscy w przeciwieństwie np. do pisarzy, nie zdobyli się dotychczas nie tylko na dokonanie bilansu swojego udziału w procesie stalinizacji polskiej historio-

⁴ A. Mencwel, *Laudacja dla Krzysztofa Pomiana* [w związku z Nagrodą polskiego Pen Clubu], „Gazeta Wyborcza”, 29 V 2007, s. 19.

⁵ Z tego powodu *Zniewolony umysł* (Paryż 1953), napisany po 1956 r. byłby niezrozumiały, czego Miłosz był zresztą świadom, kiedy zastrzegł się, że jego książka tłumaczy jedynie rzeczywistość sprzed Października.

grafii w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, ale także na wyświetlenie skomplikowanych relacji między nimi a władzą w latach następnych” — pisze Stobiecki (s. 9–10). Swoją drogą pytanie o udział historyków w stalinizacji, ale też w wyzwaniu się inteligencji polskiej z fascynacji „nową wiarą”, mogłoby stanowić przedmiot osobnych rozważań. Byłby to oczywiście temat na inną książkę.

Poszukując rozrachunku z powojenną epoką, powinno się zauważać, że w okresie lat pięćdziesiątych, na fali ofensywy ideologicznej władz, stworzono jednak szereg nowych instytucji — w tym ważne dla historiografii polskiej placówki, takie jak Instytut Historii PAN, Instytut Historii Kultury Materialnej czy Zakład Historii Nauki i Techniki PAN⁶. Powołanie do życia tych placówek nawiązywało do postulatów formułowanych jeszcze w okresie międzywojennym, kiedy wysuwano ideę utworzenia w ramach Polskiej Akademii Umiejętności pewnego centrum wokół Komisji Historycznej, i przyniosło niewątpliwie potrzebną modernizację zaplecza nauki historycznej w Polsce. Bilans dokonań tych placówek, na przestrzeni pięćdziesięciolecia PRL, jest dodatni.

Zastanawiając się nad znaczeniem dyskusji historyków polskich, toczonych wokół bilansu dziejów PRL, R. Stobiecki formułuje następującą refleksję: „Nie lekceważąc poznawczego, ideowego, czy moralnego znaczenia analizowanej dyskusji, spójrzmy nań jeszcze raz z przywoływanego już punktu widzenia. Co mówi nam ona o nas — uczestniczących w niej historykach? Sądzę, że dowodzi, jak wiele iluzji, braku tolerancji i stereotypów tkwi ciągle w nas samych. Z jednej strony chcielibyśmy wierzyć, że służymy wspólnej sprawie, uprawiamy historię jak potrafimy najlepiej, powtarzamy, że złe czasy prymatu ideologii nad historiografią dawno minęły. Z drugiej — niekiedy nawzajem zarzucamy sobie manipulowanie historią właśnie z powodów ideologicznych. Może więc jest tak, że pisząc o PRL, ciągle pozostajemy w jego cieniu, z którego nie potrafimy się wyzwolić?” (s. 334). Może jednak problem jest jeszcze szerszy? Bez wątpienia przecież terażniejszość kształtuje nasz stosunek do przeszłości i chyba nie jest to tylko stan rzeczy będący udziałem historyków polskich ani prawidłowość występująca przy badaniach nad epoką „realnego socjalizmu”. Historyk francuski François Furet, autor głośnej książki *Przeszłość pewnego złudzenia* (Warszawa 1996), w innej ze swych książek pisał jakże trafnie, że „nie istnieje coś takiego jak czysta interpretacja historyczna, a historia, którą się pisze, tkwi jeszcze w historii, bierze się z historii, jest produktem nietrwałego ex definitione stosunku między terażniejszością i przeszłością, spotkaniem cech szczególnych indywidualnego umysłu z olbrzymim polem jego możliwych zakorzenień w przeszłości”⁷.

Tom Rafała Stobieckiego nie zastąpi brakującej monografii dziejów historiografii polskiej doby powojennej, która wciąż oczekuje na swego

⁶ Zwracał na to uwagę Andrzej Wyczański, op. cit., s. 90.

⁷ F. Furet, *Prawdziwy koniec rewolucji francuskiej*, Kraków 1994, s. 7.

autora. Przynosi za to sporo „materiału do refleksji”, by użyć słów Juliusza Mieroszewskiego. To też jest niewątpliwym osiągnięciem Autora. Wydaje się, że czas na syntezę dziejów historiografii okresu PRL nadejdzie, ale syntezę taką poprzedzić muszą studia szczegółowe, których z zakresu powojennej polskiej myśli historycznej powstało dotychczas nader niewiele. Drugim zaś czynnikiem, który przyniesie ochłodzenie emocji, będzie upływ czasu, sprawiający, że od epoki sprzed 1989 r. oddalamy się nieuchronnie.

KRZYSZTOF KOSIŃSKI

Warszawa

Książka Rafała Stobieckiego stanowi zbiór kilkunastu artykułów, opublikowanych przez autora w latach 1997–2002 w czasopismach i pracach zbiorowych, przynosi diagnozę stalinowskiego modelu nauki historycznej, stawia pytanie o jego skutki, a także o postawy historyków wobec dorobku historiografii PRL. Możemy więc prześledzić drogę, jaką Autor przebył, dochodząc do proponowanych tez czy pytań. Zapewne można się spodziewać, że Stobiecki w przyszłości wykorzysta książkę jako konспект do napisania monografii poświęconej historiografii PRL, a sądząc po zebranym materiale — a zwłaszcza po zaproponowanym kwestionariuszu pytań badawczych — wydaje się szczególnie predestynowany do tej roli.

Na czym polegał stalinowski model nauki historycznej? R. Stobiecki proponuje, aby uwzględnić trzy problemy. Pierwszy z nich dotyczy organizacji nauki. Chodzi tu o powołanie instytucji nauki partyjnej (na wzór sowieckiego Instytutu Czerwonej Profesury), przebudowę lub likwidację dotychczasowych ośrodków badawczych, „roztopienie” historii wśród nauk społecznych, likwidację tradycyjnych instytucji naukowych, tworzenie centralnych ośrodków organizujących naukę, wymianę kadr naukowych, obsadzanie kluczowych stanowisk „funkcjonariuszami” nauki historycznej. Drugi problem odnosi się do nowej metodologii — zadekretowanego marksistowskiego „materializmu historycznego”. Wreszcie trzeci problem dotyczy planowania badań poprzez wyznaczenie pól badawczych. Osobnego omówienia wymagałyby instytucje nadzoru nad nauką (od wydziałów KC PZPR po cenzurę i aparat bezpieczeństwa).

Warto wskazać na przynajmniej dwie konsekwencje nowej organizacji nauki historycznej. Następować miała unifikacja pamięci historycznej społeczeństwa, przy czym Polska Ludowa stawała się ostatecznym rezultatem procesu historycznego. Zmieniała się rola badacza. Ideał uczonego jako neutralnego obserwatora został odrzucony. Jak pisze Stobiecki, nawiązując do znanej opinii Romana Werfla na temat literatury z 1948 r., władza zdawała się mówić historykom: albo historiografia w sposób obiektywny (czyli marksistowski) wyjaśni przeszłość, albo jej

nie będzie. Znamienna wydaje się tu koncepcja Kazimierza Myślińskiego, wedle którego nawet w wypadku braku źródeł historyk–marksista może obronić swoją wizję przeszłości, „odwołując się do prawidłowości ogólnej nauk o społeczeństwie” (s. 93).

Zwieńczeniem stalinizacji nauki historycznej miała być I Konferencja Metodologiczna Historyków Polskich w Otwocku (28 XII 1951–12 I 1952). W ocenie Stobieckiego, Konferencja „zakończyła się sukcesem jedynie połowicznym”. Najbardziej zagorzali rzecznicy stalinowskiego modelu nauki (wśród nich Żanna Kormanowa) okazali się zbyt słabi, aby narzucić swą wolę całemu środowisku historycznemu. Zarazem czołowe wówczas autorytety naukowe, jak np. Tadeusz Manteuffel, w obronie (względnej) autonomii gotowe były zawrzeć kompromis z władzą. Kompromis ten oznaczał z jednej strony akceptację przez środowisko historyków metodologii marksistowskiej, z drugiej – umożliwił powołanie na stanowisko dyrektora Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk T. Manteuffla. Stobiecki podkreśla, że nominacja ta była czymś wyjątkowym w skali obozu komunistycznego.

Stobiecki stawia pytanie o rzeczywiste postawy polskich historyków wobec metodologii marksistowskiej. Szkicuje portrety trojga badaczy: Witolda Kuli, Żanny Kormanowej i Henryka Wereszyckiego. W przypadku Kormanowej werdykt jest jednoznaczny: odegrała rolę przede wszystkim „funkcjonariuszki”. Niezwykła wydaje się biografia W. Kuli, promotora marksizmu jako metodologii, a zarazem rewizjonisty, sceptyka, twórcy nowatorskiej szkoły badań historycznych, jednego z nielicznych o renomie europejskiej. Na tym tle postać H. Wereszyckiego sprawia wrażenie „Księcia Niezłomnego”, podtrzymującego, pomimo wszelkich przeciwności losu, więz z tradycją historiograficzną XIX w. i międzywojnia. R. Stobiecki sugeruje, że to, co urzekło wielu badaczy w marksizmie – także po 1956 r. – to propozycja racjonalizacji dziejów, nadania im sensu. Tym samym marksizm stawał się scjentyistyczną „świecką religią”.

Autor *Historiografii PRL* nie uważa, aby rezultaty przebudowy nauki historycznej okazały się nietrwałe. Podkreśla zarazem, że po 1956 r., inaczej niż w pozostałych krajach komunistycznych, wyraźnie zaznaczyło się dążenie do (co najmniej) rewizji marksistowskiej ortodoksji. Inna sprawa, że marksistowski język nieoczekiwanie ułatwił nawiązanie współpracy kilku czołowych polskich historyków z francuską szkołą „Annales”.

R. Stobiecki raczej pesymistycznie ocenia dotychczasowe zmagania historyków z historiografią PRL. „Nie zdobyli się dotychczas nie tylko na dokonanie bilansu swojego udziału w procesie stalinizacji polskiej historiografii w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, ale także na wyświetlenie skomplikowanych relacji między nimi a władzą w latach następnych” (s. 9).

W stosunku zaś do historyków najmłodszego pokolenia, publikujących już po 1989 r., wskazuje na rozdarcie między orientacją scjentyistyczną (fakty nieobciążone „mitami” i interpretacjami) a orientacją

aksjologiczną (uczony jako strażnik wartości). Zdaniem Stobieckiego, generalnie i tak przeważa „postpozytywistyczny kult faktu jako podstawowego składnika narracji” — kosztem atrakcyjności metodologicznej. W czasach PRL „refleksja historyczna pozostała w dużej mierze prowincjonalną”. Rok 1989, zdaje się sugerować Stobiecki, nie okazał się w tym względzie znaczącą cezurą.

WOJCIECH PIASEK

Toruń

Nie jest to pierwsza praca w dorobku naukowym Autora dotycząca powojennych dziejów historiografii polskiej. Tak wytrawny badacz historii historiografii nie mógł wydać dzieła, które nie byłoby na najwyższym poziomie naukowym. We wstępie Autor pisze, że wydana praca jest dla niego „głosem i zachętą do dyskusji nad doświadczeniami polskich historyków i polskiej historiografii po 1945 roku” (s. 21). Czyniąc zadość temu oczekiwaniu, chciałbym sformułować kilka uwag dotyczących perspektywy, w jakiej Autor badał powojenną historiografię polską.

W wydanym zbiorze szkiców otrzymujemy obraz historiografii PRL nakreślony z perspektywy jej polityzacji. Polityzację historiografii rozumie Autor jako jej ideologizację. „Ideologia” — w tej perspektywie — przeciwstawiana jest „nauce”. Z jednej strony mamy zideologizowany, nienaukowy obraz świata, z drugiej naukowy, wolny od ideologii. Jednocześnie towarzyszy temu formalistyczne rozumienie władzy jako rządów, administracji i partii politycznych. Zaowocowało to ujęciem polityzacji od strony instytucjonalnej i analiz ontologicznych założeń historiografii w duchu historii idei.

Przyjęta przez Autora perspektywa bardzo dobrze sprawdza się w naświetleniu stosunku władzy–państwa do historiografii i form jej wpływu, przyczyniając się do wielu interesujących ustaleń, nie upoważnia jednak do wniosku, który zawarty został w tytule pracy. Nie da się również w oparciu o tę perspektywę dokonać sugerowanej przez Autora „głębszej refleksji”, znaleźć odpowiedzi na pytania: „czym była historiografia Polski Ludowej, — — [oraz] jaki powinien być nasz stosunek do niej” (s. 9). Trudno także sądzić, że pozwoli ona na to, aby doświadczenia tego czasu stały się ważne dla rozwoju historiografii polskiej w przeszłości (s. 21).

Ograniczenia przyjętej przez Autora perspektywy wynikają, co należy podkreślić, nie tyle z tego, że punktem obserwacji jest polityzacja historiografii, ile z rozumienia polityzacji. W rezultacie w nakreślonym obrazie, z jednej strony mamy „interwencje” polityczne, z drugiej — uleganie w mniejszym czy większym stopniu ideologii lub całkowitą od niej niezależność, a dylematy historyków tych czasów są dylematami za lub przeciw nowej władzy. Wydaje się także, że ta perspektywa nie jest

w stanie oddać złożoności historycznych PRL w aspekcie zróżnicowania obrazów przeszłości, jakie oferowała. W tych częściach, gdzie rekonstruowana jest wizja świata i człowieka, myśl potraktowana jest przez Autora w ujęciu „rozrzedzonym” (odwołując się do znanej dychotomii: „opis gęsty” i „opis rozrzedzony”, wykorzystanej do badań nad kulturą przez Clifforda Geertza).

W konsekwencji, przyjęta perspektywa paradoksalnie, moim zdaniem, prowadzi do tego, czego Autor nie chce, tzn. pełnej rehabilitacji lub dyskredytacji historiografii PRL jako „wrogiej ideologii”, koncesjonowanej przez władzę (s. 19). Zwolennicy pierwszego poglądu będą bowiem wskazywać na ideologiczny wymiar każdej historiografii i nie będą się mylić, drudzy zaś wychodzący z założenia o autonomiczności poznania naukowego wobec ideologii, również w pewnym stopniu nie będą bez racji. To, że nasze myślenie z konieczności jest zawsze stronnicze, a zatem ideologiczne, czy szerzej polityczne, nie musi oznaczać, iż poznanie historyczne należy postrzegać jako działanie polityczne, a każde ustalenia jako interwencję polityczną i wyraz zaangażowania społecznego.

We współczesnej krajowej historiografii konsekwencje rozumienia polityzacji, jakie znajdujemy u Autora, możemy obserwować w dyskusji o polityce historycznej, gdzie nauka służy do bronięcia własnych interpretacji, przedstawianych jako „czysto naukowe” i jedynie słuszne wszystkim pozostałym, które są oczywiście ideologiczne, a więc z gruntu fałszywe¹.

W perspektywie badań historiograficzno–metodologicznych, określonej przeze mnie jako antropologiczna, posługującej się obecnym w antropologii kultury niewartościującym rozumieniem ideologii jako struktury symbolicznej, a także wychodzącej z założenia, że nauka jest faktem kultury, a nie natury, problem relacji między historykami piszącymi w czasach PRL a władzą jawi się jako problem relacji między wizją świata i człowieka u historyka, a tą, która władzę legitymizuje. Ten fakt dla części historyków piszących w PRL, chcących poruszać się w obszarze nauki zakreślanym przez takie wartości, jak wolność dociekań i krytyki, oznaczał wspieranie władzy, która propagowaniem owych wartości nie była zainteresowana. Dla tych, którzy posiadali odmienne wizje świata i człowieka, sytuacja wyglądała podobnie — oni także zostali postawieni przed faktem braku zainteresowania władzy tymi wartościami, tyle że fundamenty ich historiografii były odmienne od legitymizującej władzę ideologii. Taki dylemat, podkreślmy, był dylematem historyków–naukowców. Oprócz nich obecni byli w historiografii funkcjonariusze państwowi, niemający nic wspólnego z nauką, ponieważ niekierujący się w ogóle tymi wartościami. Choć nie zaliczam ich do historyków, mógłbym zgodzić się ze zdaniem Autora, że w tym obszarze historiografia PRL była „[a]ni dobra, ani mądra, ani piękna” i być może skomplikowana.

¹ W. Piasek, *Polityka historyczna, pamięć kulturowa i historiografia w Polsce. Opis przypadku*, w: *Pamięć polska, pamięć niemiecka*, red. K. Mikulski, Z. Noga, Toruń 2006, s. 10–16.

Perspektywa antropologiczna traktująca myślenie jako intencjonalną manipulację formami kulturowymi i poszukująca bogactwa ludzkiego doświadczenia pozwala również odsłonić różnorodność polskiej historiografii powojennej. Składałyby się na nią „sposoby bycia w świecie”, „sposoby życia” związane z marksistowską wizją świata i człowieka i całkowicie od nich odmienne, obecne także w tym czasie w historiografii polskiej. Takie ujęcie historiografii PRL na poziomie „lokalnych znaczeń” zaproponowałem m.in. przy analizie twórczości Witolda Kuli i Karola Górskiego².

Oczywiste jest, że antropologiczna perspektywa spoglądania na historiografię PRL nie ma ambicji zastąpienia innych konceptualizacji. Każda perspektywa, w której analizowana jest powojenna historiografia polska, również ta przyjęta przez Autora, niewątpliwie wzbogaca nasze jej widzenie. Wydaje się jednak, że w tym przypadku większe szanse na zrozumienie jej oraz prezentację jej złożoności daje antropologiczna perspektywa badań historiograficzno-metodologicznych.

² W. Piasek, *Antropologizowanie historii. Studium metodologiczne twórczości Witolda Kuli*, Poznań 2004. Ujęcie twórczości Kuli w tej rozprawie zostało uznane przez Autora za ahistoryczne (s. 247). Zob. także: W. Piasek, *Człowiek – Kultura – Absolut. Pisarstwo historyczne Karola Górskiego*, w: K. Górski, *Spoleczne podstawy kultury. Zbiór prac*, red. W. Piasek, Toruń 2006, s. IX–LXXVI; W. Piasek, *Historiografia polska po drugiej stronie światowej – lokalne znaczenia*, „Echa Przeszłości” 7, 2006, s. 311–328. W artykule tym szerzej piszę o antropologicznej perspektywie badań historiograficzno-metodologicznych zainspirowanej „etnografią myśli” C. Geertza.

PATRYK PLESKOT

Warszawa

Próbując ocenić polską historiografię doby PRL, Rafał Stobiecki w pewnym miejscu stwierdza: „siłą rzeczy musimy dostrzec te wszystkie negatywy, które łączyły się z próbą, nie do końca — — udaną, uczynienia z historii ideologicznego narzędzia legitymizującego system. Konsekwencje tej polityki, realizowanej z różnym natężeniem przez komunistyczną władzę, widoczne są w historiografii polskiej do dzisiaj” (s. 135–136). Słowa te wydają się jasne i oczywiste. Okazuje się jednak, że nie dla wszystkich.

Jest przynajmniej jedno środowisko intelektualne, które mniej lub bardziej refleksyjnie postrzegało historiografię PRL jako dość jednolitą, a także „dobrą, mądrą i piękną” — rzecz jasna ze wszystkimi zastrzeżeniami, niuansami i wątpliwościami. Był to tzw. krąg „Annales”, który najprościej można zdefiniować jako ogół pracowników VI Sekcji École des Hautes Études parających się historią. Już pierwszy szerszy kontakt polskich uczonych — nie tylko historyków — z francuskimi kolegami na jesieni 1956 r. wywarł na tych ostatnich — a zwłaszcza na Fernandzie Braudel, wybranym właśnie na prezydenta szkoły — bardzo korzystne wrażenie¹. Nastawienie to najlepiej

¹ M. Pasztor, *Między Paryżem, Warszawą i Moskwą. Stosunki polsko-francuskie w latach 1954–1969*, Toruń 2003, s. 263 n.; A. Wyczański, *Odnowienie stosunków naukowych z Francją w 1956 roku*, KH 100, 1993, 4, s. 265–268.

ukazują słowa samego F. Braudela, przytoczone przez Witolda Kulę: „Braudel w rozmowie z nami zachwyca się naszym położeniem geograficznym. «Wy nie doceniacie! Jesteście jedynymi, którzy rozumieją i Wschód i Zachód! Takie możliwości intelektualne! Taka misja dziejowa!»². Podczas innego przemówienia F. Braudel miał wykrzyknąć: „J’aime la Pologne et j’aime le Brésil!”³. Podobne, choć nieco bardziej stonowane wypowiedzi można znaleźć m.in. u Roberta Mandrou⁴ czy Georges’a Duby⁵.

Zainteresowanie to znalazło odzwierciedlenie w bardzo wymiernych praktykach: na podstawie półoficjalnych umów z 1958 i 1959 r. oraz oficjalnego porozumienia z 1973 r. między VI Sekcją a Wydziałem I Polskiej Akademii Nauk francuska placówka fundowała polskim uczonym kilkadziesiąt stypendiów rocznie — kilkakrotnie więcej niż dla ogółu pozostałych „bratnich krajów”. Do 1990 r. ze stypendiów tych skorzystało kilkadziesiąt osób.

Wydaje się jednak, że tak dobre wrażenie na „annalistach” czyniła nie tyle polska historiografia, ile... polscy historycy. Mówiąc półżartem, „dobrzy, mądrzy i piękni” byli sami badacze, a nie ich dzieła. Te ostatnie zresztą — poza kilkoma pracami Mariana Małowista, W. Kuli, Bronisława Geremka czy Henryka Samsonowicza — były w zasadzie nieznane i nietłumaczone. „Annaliści” kontaktowali się z ludźmi — owo pozytywne wrażenie rodziło się na płaszczyźnie osobistych kontaktów, czasem przyjaźni, rozmów i dyskusji, a nie wpływów metodologicznych. Rose-Marie Lagrave, która od lat osiemdziesiątych odpowiada za kontakty École z krajami Europy Wschodniej, przekonuje, że bliskie stosunki z polską historiografią nawiązano nie dlatego, że Polacy byli inteligentniejsi od innych, tylko dlatego, że akurat z Polską od 1956 r. można było mieć te kontakty⁶. W Czechosłowacji, NRD i ZSRR ciężar ideologii był zbyt znaczny, Węgry zaś przeżyły inwazję radziecką zamiast odwilży.

Zatem to szczęśliwe sprzężenie okoliczności politycznych i biograficznych (F. Braudel miał poznać W. Kulę już w niemieckim oflagu⁷), a nie tylko atrakcyjność polskiej historiografii zadecydowało o nawiązaniu tak głębokich i wyjątkowych kontaktów. Nie zmienia to faktu, że gdyby polscy uczeni nie potrafili odpowiedzieć na ofertę francuską, kontakty te nie mogłyby się rozwinąć w tak znacznym stopniu. Jak podkreśla R. Stobiecki, paradoksalnym katalizatorem współpracy okazał się nieortodoksyjny marksizm, który dobrze wpisywał się w ducha Braudelowskiego „długiego trwania” (s. 180).

Wydaje się, że szczególność kontaktów z „Annales” uległa z czasem wyraźnej mitologizacji. Przejawia się ona w apriorycznym przekonywaniu

² W. Kula, *Rozdziałki*, oprac. N. Assorodobraj-Kula, M. Kula, Warszawa 1996, s. 33.

³ A. Mączak, W. Tygielski, *Latem w Tocznieli*, Warszawa 2000, s. 166–167.

⁴ R. Mandrou, *Les Annales en Pologne*, „Annales” 15, 1960, 2, s. 328–329.

⁵ G. Duby, B. Geremek, *Wspólne pasje. Rozmowę przeprowadził Philippe Sainteny*, Warszawa 1995, s. 45.

⁶ Nieautoryzowany wywiad z prof. R.–M. Lagrave z 10 listopada 2005 r.

⁷ F. Braudel, *Personal Testimony*, „Journal of Modern History” 44, 1972, 4, s. 453–454.

o głębokości wpływów annalistycznej historiografii na gruncie polskim⁸. Tymczasem szczegółowe badania pokazują, że wpływ ten, przynajmniej na poziomie metodologicznym (bo nie interpersonalnym) był o wiele mniejszy, niż się powszechnie uważa⁹. Zauważa to i R. Stobiecki (s. 15), pisząc o trudnościach z weryfikacją twierdzeń o inspirowaniu się polskiej historiografii metodologią „*Annales*”. Czy świadczy to o autonomii i niezależności polskiej historiografii, czy też o jej nieumiejętności ustosunkowania się do zachodnich prądów? Być może obie te cechy po prostu współistniały.

Jedno jest pewne: z pewnym uproszczeniem można stwierdzić, że w oczach „annalistów” polska historiografia wyglądała dokładnie odwrotnie niż w tytule książki R. Stobieckiego: była „dobra”, „mądra”, „piękna”, a z jej skomplikowania — z oddali francuskich salonów — nie zdawano sobie do końca sprawy.

⁸ Zob. np. B. Geremek, *Fernand Braudel o zadaniach humanistyki*, KH 67, 1960, 4, s. 1159–1164; idem, *Marc Bloch, historien et résistant*, „*Annales*” 41, 1986, 5, s. 1091–1105; J. Topolski, *Współczesne problemy metodologiczne nauk historycznych*, KH 81, 1974, 3, s. 528–545; S. Meller, *Andrzej Wyczańskiego francuskie doświadczenia historyczne*, w: *Andrzej Wyczański — doctor honoris causa Uniwersytetu w Białymstoku*, Białystok 1999, s. 27–29; A. F. Grabski, *Zarys historii historiografii polskiej*, Poznań 2000, s. 215; S. Bylina, *Z perspektywy półwiecza*, w: *Instytut Historii Polskiej PAN 1953–1993*, red. S. K. Kuczyński, Warszawa 1993, s. 14; A. K. Shelton, *The democratic idea in Polish history and historiography: Franciszek Bujak (1875–1953)*, New York 1989, s. 215.

⁹ Zob. P. Pleskot, *Intelektualni sąsiedzi. Kontakty polskich historyków z francuskim środowiskiem „Annales” w latach 1945–1989 (w przygotowaniu)*.

ZBIGNIEW ROMEK

Warszawa

Refleksja i szczególna uwaga poświęcona kondycji myśli historycznej, stanu naukowego opracowania i rozumienia przeszłości jest rzeczą naturalną w czasach przełomów. Tak było w okresie obu wojen światowych i bezpośrednio po nich, gdy zmieniały się warunki pracy uczonych. Po pierwszej wojnie światowej, gdy odzyskiwaliśmy niepodległość, wiele pisano o konieczności służby odrodzonemu państwu, po 1945 r., gdy powstawało państwo „ludowe”, starano się narzucić nauce zadania legitymizujące nową władzę. Niewątpliwie koniec zależności Polski od ZSRR, wewnętrzne zmiany polityczne i gospodarcze, przystąpienie do NATO i Unii Europejskiej to początek nowej epoki w naszych dziejach, to wielki przełom. Co zmieniło się w nauce historycznej w ostatnich latach? W jakim stopniu nadal ciąży na niej PRL-owska przeszłość, jak oceniać to, co się w niej aktualnie dzieje — to pytania, jakie warto dziś postawić, zastanawiając się nad stanem polskiej historiografii drugiej połowy XX i początków XXI w.

Niewątpliwie podstawowym wyznacznikiem zmian w polskiej historiografii w ostatnim okresie było zniesienie systemu cenzury. Systemu, który sprowadzał się nie tylko do działań urzędu z ulicy Mysiej, ale był całym zespołem powiązanych instytucji i współpracujących z nim ludzi,

w tym także uczonych, systemu, który wymuszał określony styl pisania, narzucał określone tematy i ich interpretacje, zakazywał podejmowania problematyki niewygodnej dla sprawujących władzę. Historycy żyjący w dobie PRL, chcąc funkcjonować w ramach struktur zdominowanych przez państwo i marksistowską ideologię, chcąc wykonywać zawód, musieli dostosować się do obowiązujących wówczas reguł. Jeżeli porównać to, co działo się wówczas w Polsce, z realiami panującymi w ZSRR, NRD czy Czechosłowacji, to trzeba przyznać, że polscy uczeni potrafili w miarę udanie funkcjonować w narzuconych przez władzę realiach. Ceną ugody była bardziej bądź mniej szczerza, wyrażana w publikacjach akceptacja PRL-owskiego systemu, zyskiem był wąski, ale z upływem lat systematycznie powiększający się margines wolności. Punktem wyjściowym była, wywalczona jeszcze w czasach otwockich, akceptowana przez władze, zasada wierności klasycznemu warsztatowi historycznemu. Wierność ta wprawdzie miała służyć „jedynie słusznej” marksistowskiej metodologii i pomagać w realizacji celów ideologicznych państwa, ale z biegiem czasu w coraz mniejszym stopniu przestrzegano zasad materializmu dialektycznego, natomiast nieprzerwanie uczono młode pokolenia wierności podstawom zawodu i warsztatu historyka. Okazało się wówczas, że skutecznym sposobem na zachowanie naukowych standardów było pielęgnowanie tradycyjnego, dziewiętnastowiecznego warsztatu. Okazało się, że metodologia marksistowska, początkowo traktowana przez wielu jako ciekawa inspiracja, przydatna do podjęcia nowego rodzaju badań, zawierała zbyt wiele sprzeczności, niedomówień i błędów, aby traktować ją jako twórczą propozycję dla badań historycznych. Uczeni przekonali się szybko, że marksizm był dla władz wygodnym narzędziem politycznej manipulacji, bardziej niż „naukowym” sposobem na zrozumienie mechanizmów rządzących światem. Dlatego w latach siedemdziesiątych coraz mniej uczonych, a w osiemdziesiątych w zasadzie mało kto, traktowało go poważnie. Ubocznym efektem narastającego lekceważenia wobec metody materializmu historycznego było to, że na dobre zadomowiła się w polskim środowisku historycznym niechęć do wszelkiej refleksji metodologicznej, jako czegoś zbędnego w badaniach historycznych. Wydaje się, że niechęć ta, choć niewyrażana wprost, przetrwała do dnia dzisiejszego, skutkiem czego nauka historyczna kojarzona jest nadal przez większość uczonych przede wszystkim z dziewiętnastowiecznymi, pozytywistycznymi kanonami (krytycznym opracowaniem źródeł, ustalaniem faktów). Tradycyjne rozumienie nauki o przeszłości i niechęć do wszelkich „nowinek” metodologicznych spowodowały, że próby stosowania metod socjologicznych, analizy literackiej, psychologii, próby badań prowadzonych na pograniczu różnych dyscyplin naukowych są traktowane przez większość historyków niechętnie i z dużą podejrzliwością. Często dążenie do uatrakcyjnienia i poszerzenia metod badawczych, inspirowanie analizy historycznej taką czy inną koncepcją filozoficzną, próby szukania w przeszłości odpowiedzi na ważne współcześnie tematy społeczne czy ekonomiczne traktowane bywają przez znaczą część środowiska polskich uczonych jako zamach na naukę,

a nawet próbę powrotu do metod zniewolenia nauki rodem z czasów PRL. Dlatego można zaryzykować twierdzenie, że polska historiografia w przeważającej większości nie przeżyła w 1989 r. i nadal nie przeżywa jakiegoś zasadniczego wstrząsu metodologicznego, a znaczny procent polskich uczonych nie zmienił stylu uprawiania nauki, która przez to pozostała w swej części anachroniczna w porównaniu z tym, co aktualnie dzieje się w Europie i na świecie.

Konsekwencją ograniczeń cenzuralnych i preferencji tematycznych czasów PRL była dominacja w ówczesnej historiografii problematyki gospodarczej i społecznej, z naciskiem na tzw. postępowe tradycje. Współczesna polska historiografia odreagowuje tamte nakazy i ograniczenia, czemu trudno się dziwić. Jest zrozumiałe i naturalne, że po okresie milczenia tematy o Powstaniu Warszawskim, Armii Krajowej, stosunkach polsko-radzieckich, dziejach ziemiaństwa czy problematyce żydowskiej, po 1989 r. zdominowały rynek wydawniczy. Często jednak prace podejmujące tematy w czasach PRL-u „niecenzuralne” mają przede wszystkim charakter dokumentacyjny. Choć niewątpliwie oddają one sprawiedliwość osobom skrzywdzonym przez system komunistyczny, wydobywają na światło dzienne mało znane wydarzenia, są dla współczesnych (poza wąskim kręgiem osób bezpośrednio zainteresowanych) mało ciekawe i inspirujące. Dzieje się tak dlatego, że problemy te przedstawiane są w znacznej mierze schematycznie i archaicznie, że ich autorzy koncentrują się na drobiazgowym przedstawianiu wydarzeń, opisie struktur i zasad funkcjonowania takich czy innych organizacji. Jednak te wartościowe faktograficzne ujęcia nie podejmują problematyki aktualnie ważnej i nośnej społecznie, jedynie odwołując się do konieczności ocalenia społecznej pamięci o kiedyś zakazanych przez cenzurę ludziach i wydarzeniach. Zapomniano, że każde pokolenie opisuje historię po swojemu, że należy w badaniach historycznych wychodzić od współczesności, aby podejmować ciekawe dla dzisiejszego czytelnika problemy, by przez ich analizę inspirować do refleksji, poszerzać wiedzę, pomagać w rozumieniu dzisiejszej rzeczywistości. W taki sposób, w miarę przemian społecznych i pojawiania się nowych teorii, przeszłości stawiane są nowe pytania, które interesują współczesne pokolenie. Wydaje się, że wielu autorów, podejmując tematy o AK, powojennym „nielegalnym podziemiu”, funkcjonowaniu Kościoła katolickiego, akcjach aparatu bezpieczeństwa, zwalczaniu opozycji antykomunistycznej czy o ważnych przełomowych wydarzeniach czasów PRL, czyni to, ignorując współczesnego czytelnika i jego zainteresowania. Historycy ci, dążąc do opisania, „jak to w przeszłości było”, zapominają wydobyć z niej nowe treści, opisać ludzkie dzieje inaczej, aby podejmując zagadnienia ważne i nieopracowane, przedstawić je tak, by podejmowały aktualne i ciekawe intelektualnie problemy. Ironią losu jest to, że gdy można dziś pisać o wszystkim i spierać się bez ograniczeń o interpretacje przeszłości, prace historyczne najczęściej są pomijane milczeniem, nie budzą żadnych emocji, nie wywołują dyskusji, ignorowane są nawet przez samych historyków.

Rzadko do opracowań historycznych sięga młode pokolenie Polaków. Czy tylko dlatego, że dzisiejszy świat zawojuwały media elektroniczne, a w związku z tym spada czytelnictwo książek? Niewątpliwie tak, ale może dzieje się tak również dlatego, że polska historiografia to w większości prace nudne i pisane bez polotu. Czy nie znamienny jest fakt, że najbardziej dziś znanym i najchętniej czytany w Polsce historykiem jest Norman Davies? I choć wielu naszych dziejopisów słusznie wytyka brytyjskiemu uczonemu faktograficzne błędy, próbując w ten sposób przekonać naszych czytelników, że najlepiej przygotowanymi do pisania o polskiej przeszłości są polscy historycy, uwagi te bynajmniej nie zmniejszają popularności jego prac. Bo też sekret poczytności prac Daviesa nie kryje się w wierności faktograficznej, opartej na perfekcyjnym warsztacie. To, co czyni jego książki atrakcyjnymi dla polskich czytelników (co nie znaczy, że mało wartościowymi naukowo), to klimat przedstawianej epoki, opisy ludzkich zachowań i emocji, stylów myślenia, analizy psychologiczne indywidualne i dotyczące zbiorowego bohatera, to refleksje autora nad opisywanymi wydarzeniami i postawami, które pomagają czytelnikowi zrozumieć i intuicyjnie przeżyć wydarzenia przeszłości, zastanowić się nad skomplikowanymi problemami naszych dziejów. Książki Daviesa chętnie są czytane, ponieważ skłaniają do refleksji, na podstawie analizy przeszłości uczą myślenia, pokazują skomplikowane i niejednoznaczne losy człowieka. Wszystko to, poparte interesującą narracją, przeplataną humorem i anegdotą, powoduje, że każda jego nowa praca może liczyć na sukces wydawniczy.

Czy czasami nie jest tak, że zniesienie cenzury „rozleniwiło” polskich historyków, którzy w znacznej części uważają, że wystarczy podjąć temat zakazany w czasach PRL, aby automatycznie zdobyć rzesze czytelników. Tymczasem to, co było kiedyś atrakcyjne, bo niedozwolone, z chwilą gdy straciło cechę „zakazanego owocu”, najczęściej nie interesuje już dzisiejszego pokolenia. O atrakcyjności literatury naukowej bądź braku zainteresowania nią decyduje przede wszystkim sposób przedstawienia przeszłości, który powinien być zgodny z oczekiwaniami współczesnego czytelnika, powinien odpowiadać standardom nauki europejskiej i światowej. Jak to robić? Czy dbałość o czytelnika i atrakcyjność literatury naukowej ma spowodować porzucenie dotąd podejmowanych problemów badawczych i powinno zaowocować poświęceniem prac historycznych tematom medialnym: dewiacjom seksualnym, losom kobiet walczących o swe prawa czy terroryzmowi w perspektywie od starożytności aż po wiek XX? Wydaje mi się, że także tematy ważne, gdyż zaniedbywane w dobie PRL-u, przy innym niż dotychczas ujęciu mogą stać się atrakcyjne dla współczesnego odbiorcy. Chciałbym tu posłużyć się jednym przykładem. Kto dziś chętnie sięga po prace o stalinowskich więzieniach i okrutnych metodach łamania ludzkich charakterów przez tortury i terror fizyczny i psychiczny stosowany w latach pięćdziesiątych? Prace z tego zakresu w zasadzie nie cieszą się dziś zainteresowaniem, gdyż uznawane są za kolejny element kultywowania narodowej martyrologii. Wydaje się

jednak, że nawet tak ponura problematyka może być przedmiotem interesującej analizy, jeżeli spojrzymy na nią nie od strony opisów instytucjonalnej maszyny represji, ale choćby od strony samych więźniów. Czy nie ciekawa byłaby odpowiedź na pytania: co pomagało przetrwać skazanym, co skłaniało torturowanych do godnych zachowań, dlaczego często nie ulegali tak dotkliwej fizycznej presji, a oddając życie za wyznawane ideały nie załamywali się, a gdy załamywali się, to dlaczego? Czy dziś, gdy tak często mówi się o łamaniu ludzkich charakterów przez pracodawców, gdy w firmach kwitnie lizusostwo i mobbing, gdy człowiek tak łatwo wyrzeka się wolności, staje się niewolnikiem układów, koterii, boi się bronić swego zdania, nie byłoby ciekawe pokazać ludzi walczących o godność w dużo trudniejszych warunkach? Czy nie byłaby ciekawa próba analizy wskazująca, dzięki jakim wartościom ludzie potrafili się przeciwstawić stalinowskim represjom? Czy pokazanie tej problematyki od strony indywidualnych przeżyć, psychologiczna analiza zachowań, pokazanie mentalności i stylu myślenia ludzi represjonowanych, a także ich oprawców, stylu wychowania, na jakich formowano osoby opierające się reżimowi, nie byłyby bardziej ciekawe od opisów ich męczeństwa. Nie chodzi tutaj bynajmniej o to, aby historia stała się „nauczycielką życia” dzisiejszych pokoleń, ale o podjęcie przez prace historyczne refleksji, której przesłaniem mogłaby stać się myśl, że zawsze warto jest walczyć o godność i że ta walka nie skończyła się wraz z końcem stalinizmu, wraz z końcem PRL-u, ale jest ważnym zadaniem współczesnego człowieka.

Wydaje się, że we współczesnej historiografii stosunkowo mało jest prac podejmujących ciekawe problemy badawcze, mało jest pomysłów, jakie pytania stawiać przeszłości, aby były one interesujące dla współczesnego człowieka, by prace historyczne nie ograniczały się głównie do sumiennego i pracowitego, ale tylko faktograficznego opisu dziejów. Środowisko uczonych nie powinno cieszyć się ze swych dokonań, spoczywać na laurach, szcząc się zasługami z okresu walki z PRL-owską cenzurą i poprzestając na usuwaniu „białych plam”, lecz ciągle szukać nowych dróg badawczych i atrakcyjnych pytań w coraz to ciekawszych historycznych analizach.

TADEUSZ PAWEŁ RUTKOWSKI

Warszawa

Książka Rafała Stobieckiego *Historiografia PRL. Ani dobra, ani mądra ani piękna... ale skomplikowana* stanowi dobrą okazję do podsumowania dorobku polskiej historii historiografii epoki PRL. Autor książki jest bodajże najwybitniejszym obecnie polskim historykiem historiografii, stąd ocena jego dokonań jest w dużej mierze oceną dorobku całej tej dziedziny historii w tym okresie.

Autor zebrał w książce teksty opublikowane w różnych miejscach w latach 1997–2005 oraz kilka niepublikowanych. Zostały podzielone na trzy części: „Stalinizm a nauka historyczna”, „Historiografia PRL” i „PRL życie po życiu”. Dwie pierwsze, najobszerniejsze (85% książki), dotyczą prawie wyłącznie okresu 1945–1956. Trzecia poświęcona została stosunkowi polskiej historiografii współczesnej do PRL. Proporcje te oddają obecny stan polskiej historii historiografii; nie wykracza ona — z drobnymi wyjątkami — poza magiczną cezurę roku 1956¹. Ograniczenie się polskich historyków — nie tylko historiografii — do badania dziejów polskiej nauki historycznej niemal wyłącznie w okresie stalinowskim powoduje, że w przeciwieństwie do innych dziedzin historii PRL brak jest obecnie badań umożliwiających nawet ogólną ocenę historiografii polskiej lat 1956–1990². Wynika to z wielu przyczyn, do których należy przede wszystkim rozproszenie i mała dostępność bazy źródłowej oraz drażliwość tematu związana m.in. z faktem, że wciąż w życiu naukowym czynnych jest wielu pozytywnych i negatywnych (albo łączących te dwie role w zależności od okresu życia) bohaterów wydarzeń³. Dotyczy to zwłaszcza przedstawicieli historii najnowszej będącej jednym z najistotniejszych ogniw „frontu ideologicznego” w PRL, z czym wiązało się znaczne upartyjnienie tego środowiska i duża presja wywierana nań przez władze. W moim przekonaniu, brak głębszej krytycznej refleksji nad polską historiografią okresu po 1956 r. jest istotnym czynnikiem obniżającym dzisiejszy poziom polskiej historii historiografii i utrudniającym wytyczenie kierunków badań. Stąd również często bierze się powielanie przez polskich badaczy, zwłaszcza dziejów najnowszych, ustaleń historiografii PRL-owskiej bez refleksji nad jakością i uwarunkowaniami politycznymi pracy poprzedników. Warto przy tym zauważyć, że zaniedbana jest również biografistyka historyków działających w PRL, choć ostatnio i na tym polu widać pewne postępy⁴.

¹ Do nielicznych wyjątków należą publikacje Andrzeja Chojnowskiego, Marcina Kuli, Zbigniewa Romka, Jacka Z. Sawickiego, Andrzeja Wierzbickiego oraz piszącego te słowa.

² Czego efekt można zobaczyć chociażby w *Zarysie historii historiografii polskiej* Andrzeja F. Grabskiego (Warszawa 2003), gdzie okresowi PRL poświęcono tylko kilka stron, dotyczących przede wszystkim okresu stalinowskiego.

³ Pisze o tym także Stobiecki, stwierdzając, że „Bezpośredni uczestnicy wydarzeń, historycy piszący w okresie PRL nie chcą z różnych powodów wracać do przeszłości, traktują ją jako zamknięty rozdział bądź też ich wypowiedzi skażone są nową formą autocenzury. — —. Prowadzi to do sytuacji, w której siłą rzeczy dają o sobie znać postawy skrajne. Z jednej strony zmierzające do pełnej rehabilitacji postaw historyków i historiograficznego dorobku minionych lat, z drugiej dyskredytujące wszystko lub prawie wszystko, co wówczas napisano jako skażone «wrogą ideologią» i koncesjami wobec władzy” (s. 19). W tym kontekście dziwi nieco wyraźna aproba Stobieckiego dla podjętej przez organizatorów XIV Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich decyzji o zaniechaniu rozliczeń z okresem minionym. Konsekwencje braku refleksji nad przeszłością, która wtedy była jak najbardziej naturalna, polskie środowiska historyczne ponoszą do dziś, płacąc zarówno swoim autorytetem, jak jakością pracy naukowej i dydaktycznej.

⁴ W książce Stobieckiego zamieszczone są biogramy trzech postaci, które autor określił jako reprezentatywne dla różnych postaw zajmowanych przez historyków w okresie PRL: Zanny Kormanowej, Witolda Kuli i Henryka Wereszyckiego. Ostatnio ukazały się także obszernie biogramy Bogdana Suchodolskiego i Mieczysława Żywczyńskiego. Niemiecki

Stobiecki podjął także próbę ustalenia metod i zasad pisania o historii historiografii w PRL i o uczonych ją tworzących. Powołał się przy tym na opinie Zbigniewa Romka i Michała Głowińskiego (s. 19–20). Pierwszy z nich, proponując ocenę „wszelkich organizacji, rozmaitych zjawisk i przebiegu wydarzeń” według „współczesnych standardów społeczeństwa demokratycznego”, podkreślał bardzo mocno, że: „Wszelkie wartościowanie zachowań ludzi bez uwzględnienia okoliczności, w jakich przyszło im działać, jest ahistoryczne, niczego nie wyjaśnia, prowadzi do schematycznych ocen i utrudnia zrozumienie przeszłości.— gdy oceniamy postawy ludzi doby PRL, warto pamiętać o warunkach w jakich przyszło im żyć i pracować, o atmosferze tamtych czasów, o ograniczonych możliwościach wyboru”⁵. Zgadając się z tym ostatnim, chciałbym zauważyć, że są to rzeczy oczywiste, mieszczące się w warsztacie naukowym historyka. Jednak literalne stosowanie sformułowanej przez Z. Romka konstrukcji w stosunku zwłaszcza do środowisk naukowych nie jest proste. Kto np. ma wyznaczać „współczesne standardy społeczeństwa demokratycznego” w odniesieniu do historyków — Henryk Wereszycki, Karol Górski czy Tadeusz Manteuffel? Jeśli któryś z nich, to trzeba stwierdzić, że znacząca część środowiska standardom tym z wielu przyczyn sprostać nie umiała, czy nie mogła. Określenie takich standardów jest zatem niezwykle trudne, być może nawet niewykonalne, a przy tym nie zawsze może skutkować rzetelną oceną danego uczonego. Podobnie ma się sprawa z unikaniem wartościowania — czy historyk może wyrzec się prawa do oceny postępowania opisywanych postaci? Można unikać ocen jednostronnych i pochopnych, ale „wartościowania” uniknąć się nie da.

M. Głowiński z kolei krytykował postawę „prokuratorską” jako sposób pisania o dziejach najnowszych Polski⁶ (s. 20). Jego wypowiedź skierowana była — jak należy sądzić — przede wszystkim przeciw ewentualnym próbom lustracji polskiej nauki. Podobne stanowisko w kwestii ujawniania akt byłej Służby Bezpieczeństwa zajął także Z. Romek⁷. Jest oczywiste — i przyjmują to (przynajmniej formalnie) prawie wszyscy badacze epoki — że ocena ewentualnej współpracy z aparatem bezpieczeństwa danej osoby powinna uwzględniać wszystkie jej okoliczności, nie zmienia to jednak konieczności dokonania oceny tego faktu i jego ewen-

historyk Markus Krzoska opublikował biografię Zygmunta Wojciechowskiego. Brakuje jednak nadal wyczerpujących biografii wielu osób istotnych dla środowiska historycznego okresu PRL: Celiney Bobińskiej, Tadeusza Daniszewskiego, Aleksandra Gieysztora, Stanisława Herbsta, Henryka Jabłońskiego, Stefana Kieniewicza, Józefa Kowalskiego, Kazimierza Lepszego, Witolda Łukaszewicza, Karola Maleczyńskiego, Jaremy Maciszewskiego, Ewy Maleczyńskiej, Tadeusza Manteuffla, Kazimierza Piwarskiego i wielu innych.

⁵ Z. Romek, „Cenzura kreatywna” w PRL a środowisko naukowe historyków, PH 97, 2006, 1, s. 24–25.

⁶ M. Głowiński, *O krytyce prokuratorskiej*, w: *Pośród spraw publicznych i teatralnych. Marcie Fik przyjaciele, koledzy, uczniowie*, red. M. Napiontkowa, J. Krakowska-Narożniak, Warszawa 1998, s. 165–172.

⁷ Z. Romek, op. cit.

tualnych następstw⁸. Dotychczasowa praktyka w stosunku do środowiska naukowego dowodzi raczej, że nie jest ono w swojej masie gotowe do podjęcia trudu analizy akt SB go dotyczących, pozostawiając to dziennikarzom⁹.

W trzeciej części książki Stobiecki zabrał głos w dyskusji nad sposobem pisania o dziejach PRL, polemizując zarówno z poglądami prominentnych przedstawicieli historiografii PRL, jak z historykami wyznającymi ideologiczne podejście do uprawiania nauki historycznej (s. 304–305). Opowiedział się przy tym za poglądem (za Gwidonem Zalejką), że „historia jest taka, jacy są piszący o niej historycy”, stwierdzając, iż w dobie obecnej „powinniśmy w imię obrony społecznego statusu historii wykształcić w sobie więcej pokory wobec nieodgadnionej tajemnicy przeszłości i szacunku dla alternatywnych wizji historii. Starać się pokazywać wielowymiarowość i obrazu przeszłości i obecnego w niej człowieka”¹⁰ (s. 306). Stwierdzenie to, niewątpliwie słuszne, łączy Stobiecki z krytyką wypowiedzi niektórych badaczy i publicystów postulujących ocenianie czynów poszczególnych postaci historycznych (przywołując wypowiedzi Wojciecha Roszkowskiego i Jana Nowaka-Jeziorańskiego), co jego zdaniem prowadzi do sytuacji, w której „obraz historii staje się areną konfrontacji systemów aksjologicznych, a więc sporem ideologicznym. «Prawdziwe» staje się zatem to, co mieści się w katalogu wartości obecnych w wyznawanym przez historyka światopoglądzie” (s. 309). Według Stobieckiego, „W tak pojmowanej historiografii cele poznawcze schodzą na plan dalszy. Oczekuje się od niej przede wszystkim wytlumaczenia współczesności, która — — przekształca się w jej historyczną «legitymację» prowadzącą w skrajnych przypadkach bądź do jej sakralizacji bądź potępienia” (s. 310–311). Takie ujęcie tej kwestii, nie negując jej słuszności w niektórych skrajnych przypadkach, prowadzi jednak do wycofania się historyka z prawa do oceny poszczególnych osób czy wydarzeń i powstawania prac bezbarwnych i nijakich¹¹. Skłonny jestem sądzić, że nawet wyraziste sądy o danej osobie czy wydarzeniu będącym przedmiotem badań powinny być przedstawiane — historyk pełni bowiem, chcąc nie chcąc, funkcję sędziego, a jego ustalenia, oparte na solidnej bazie źródłowej, muszą kończyć się pointą, co oczywiście nie

⁸ Odrębnym problemem jest sposób traktowania tego typu spraw przez prasę, czego przykładem był choćby artykuł tygodnika „Wprost” dotyczący rzekomej współpracy z SB Zbigniewa Herberta (J. Urbański, *Donos Pana Cogito*, „Wprost” 33/34, 27 VIII 2006, s. 32–33).

⁹ Wyjątkami są tu przede wszystkim Uniwersytet Jagielloński i Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu.

¹⁰ G. Zalejko, *Stereotypy w myśleniu historyków*, w: *Podręcznik historii — perspektywy i modernizacji*, red. M. Kujawska, Poznań 1994, s. 38.

¹¹ Stobiecki proponuje m.in. zastanowienie się nad stwierdzeniem zawartym w książce Joyce Appleby, Lynn Hunt i Margaret Jacob, *Powiedzieć prawdę o historii* (Poznań 2000): „Dążenie do ustalenia prawdy historycznej narzuca pokorę. Ponieważ nikt nie może być absolutnie pewien swej interpretacji, każdy musi przysłuchiwać się opiniom innych, nikomu nie przysługuje ostatnie słowo”. Zgadając się z postulatem pokory w badaniach naukowych, sądzę, że tak zarysowane podejście do efektów swojej pracy nie sprzyja formułowaniu zdecydowanych wniosków i opinii wyciągniętych na jej podstawie.

zwalnia go z obowiązku rygorystycznego stosowania warsztatu naukowego i wyważenia racji wszystkich stron¹². Jest to zatem rola, jaką dla historyka widział przywoływany przez Stobieckiego J. Nowak–Jeziorański — choć rozumiana nieco inaczej niż w jego interpretacji¹³. Szkoda, że Stobiecki nie podjął w tym miejscu próby ustalenia kryteriów pisania o historii PRL, ograniczając się do diagnozy zagrożeń.

Analizując w trzeciej części książki sprawę pisania o historii PRL, Stobiecki dotyka jednego z największych chyba problemów dotyczących specjalistów w tej dziedzinie historii, a zwłaszcza biografów: jak wyważyć poszczególne kwestie, żeby pokazać obraz prawdziwy i sprawiedliwy zarazem. Wiele bowiem osób spośród zaangażowanych w działalność społeczną i polityczną w PRL zmieniało w miarę upływu czasu zarówno poglądy polityczne, jak i swoje postępowanie, wielu zaś mimo politycznego zaangażowania w strukturach komunistycznego państwa zachowywało się w sposób przyzwoity. Ta część książki jest wyraźnie najśłabsza — Autorowi brakuje czasami wiedzy źródłowej z zakresu najnowszej historii Polski (w której nadal jest wiele luk), co pozwoliłoby mu na głębszą ocenę piśmiennictwa naukowego dotyczącego PRL i podbudowy merytorycznej wypowiedzianych przez dyskutantów opinii. W związku z tym jego oceny robią czasem wrażenie powierzchownych. Jest to zarazem problem znacznie szerszy w dzisiejszej polskiej historiografii, w której panuje niechęć do wyrażania zdecydowanych sądów, a zarazem do krytycznej oceny pisarstwa kolegów. Zły stan krytyki i dyskusji naukowej, widoczny w latach dziewięćdziesiątych, ostatnio trochę się poprawił, ale nadal — moim zdaniem — polska historiografia dziejów najnowszych cierpi raczej na niedosyt publicznego ścierania się opinii i dyskusji naukowych niż na nadmiar ostrych, a nawet ideologicznie motywowanych prac naukowych¹⁴. Jej specyfiką jest bowiem — zwłaszcza w ostatnich latach — zmniejszenie odległości czasowej między badaczem a przedmiotem badań. Historycy badają zatem wydarzenia których byli świadkami (co sprzyja kierowaniu się własnymi odczuciami w stosunku do danych osób czy zagadnień), a jednocześnie są poddawani presji żyjących (i często aktywnych politycznie) uczestników wydarzeń¹⁵.

¹² Nie zmienia takiej oceny fakt, że wielu historyków w swoich publikacjach w prasie, czy wystąpieniach publicznych, a niekiedy i w pracach naukowych takiej rzetelności oceny uchybia, co wzmacnia postawę obronną części środowiska, nie sprzyjając rzetelnej dyskusji nad tymi zagadnieniami.

¹³ Nowak–Jeziorański sformułował swoją opinię w tekście poświęconym książce Krzysztofa Lesiakowskiego o Mieczysławie Moczarze, wytykając jej autorowi brak jednoznacznej oceny tej postaci (s. 309).

¹⁴ Problemem w moim przekonaniu jest zatem nie tyle sam fakt ukazywania się znacznej liczby książek, w których można łatwo odczytać ideologiczne nastawienie autora, ile brak ich rzeczowej krytyki czy publikacji pokazujących ten sam temat z innej perspektywy, przy założeniu oczywiście, że oba spojrzenia będą oparte na solidnej podstawie badawczej.

¹⁵ Najbardziej wyrazistym tego przykładem są choćby problemy badawcze dotyczące oceny i w ogóle badań działalności tak wyrazistych uczestników polskiego życia politycznego, jak np. Jacek Kuroń, Adam Michnik, Lech Wałęsa.

Dzieło R. Stobieckiego pokazuje również, że sam warsztat historyka historiografii jest czasami niewystarczający do oceny historiografii PRL, zwłaszcza tej po 1956 r. Nie wystarczy bowiem tylko analiza dorobku poszczególnych uczonych czy rozwoju badań w danych dziedzinach historii. Potrzebna jest także — zwłaszcza w stosunku do historii najnowszej (liczonej od 1864 r.) — analiza okoliczności, w jakich powstały dane prace, ingerencji i wpływu różnych rodzajów cenzury, uwzględniająca publikacje, które nie mogły się ukazać, jak również założenia polityki naukowej PZPR wobec nauki historycznej i metody jej realizacji¹⁶. Analizę taką utrudnia, jak już wspomniałem na początku, znaczne rozproszenie źródeł i ich niekompletność bądź nieuporządkowanie.

Podsumowując niniejsze rozważania, należy stwierdzić, że dotychczasowe dokonania polskiej historii historiografii, których rekapitulacją jest książka R. Stobieckiego, są — nie z winy jej Autora — zdecydowanie niewystarczające. Dobrze rozwijają się — w znacznej mierze dzięki pracom Rafała Stobieckiego — badania okresu stalinowskiego, ale brak takich badań w odniesieniu do okresu późniejszego wpływa negatywnie na ocenę dokonań polskiej historiografii dziejów najnowszych w ogóle.

¹⁶ O tym, że jest to problem dotyczący w ogóle historyków historiografii czasów najnowszych, świadczy wydana ostatnio książka Macieja Górnego *Przed wszystkim ma być naród. Marksistowska historiografia w Europie Środkowo-Wschodniej* (Warszawa 2007).

ANDRZEJ WIERZBICKI
Warszawa

Książka Rafała Stobieckiego, ukazując przenikniętą ideologią i polityką klimaty, w jakich rodziła się, dojrzewała i na koniec obumierała historiografia PRL, powinna mieć jednoznacznie optymistyczną wymowę. Narodzona w ciemnościach totalitarnej nocy i postawiona w pierwszym szeregu „frontu ideologicznego”, polska historiografia „ludowa” ulegała coraz większym przekształceniom (sprzężonym głównie z przelomami październikowym — 1956 r. i sierpniowym — 1980 r.), po to, aby w końcu jeszcze przed śmiercią zmyć z siebie (jakkolwiek nie całkowicie) piętno grzechu pierworodnego, jakim był tzw. model czy też paradygmat stalinowski. Wydaje się, że taki ciąg myślowy wieńczyć powinno ufne i radosne spojrzenie na teraźniejszość i przyszłość. Stobiecki stawia jednak tutaj wiele znaków zapytania, do których ja dorzucę kilka własnych.

Cezura końca PRL nie jest dla naszej historiografii cezurą manichejską, odgraniczającą wyraźną kreską historiografię „złą” od „dobrej”. To prawda, że zwłaszcza w czasach wczesnego PRL-u mieliśmy do czynienia z historiografią, której już choćby tylko zewnętrzna forma, przejawiająca się pod postacią „nowomowy” i marksistowsko-leninowskiej „cytatologii”, stała w sprzeczności z historiografią nie tyle nawet

profesjonalną, ile po prostu zdroworozsądkową. To również prawda, że działanie cenzury, zarówno w jej destrukcyjnym („zastawki”, białe plamy), jak i kreatywnym aspekcie (tematy i oceny zgodne z „interesami mas ludowych” oraz „linią partii i rządu”) sprzyjały usytuowaniu historyków w szeregach „żołnierzy frontu ideologicznego”. Ale przecież również i wówczas dawało się robić rzeczy dobre, a nawet bardzo dobre, zwłaszcza w dziedzinie budowy warsztatu historycznego (niektóre wydawnictwa źródłowe czy wznowienie po kilkuletniej przerwie *Polskiego Słownika Biograficznego*) oraz historii gospodarczo–społecznej (to znamienne, że Witold Kula jest obok Joachima Lelewela najbardziej znanym polskim historykiem na świecie). Naprawdę nieźli byliśmy w dziedzinie metodologii, głównie dzięki ośrodkowi skupionemu wokół Jerzego Topolskiego, który pozostając w stałych kontaktach z zachodnimi teoretykami historii, usiłował marksizm uelastyczniać i poddawać rewizji, po to, aby ostatecznie całkowicie się z nim rozejść. Zastępującym na uwagę fenomenem była nasza otwartość na płynące z Zachodu nowinki teoretyczne, zwłaszcza z kręgu *Annales*. Brzmi to jak paradoks, ale pod tym względem otwartość na myśl Zachodu była znacznie większa wśród historyków krajowych niż emigracyjnych. Mieliśmy znakomitych mediewistów i nowożytników, a także niemałą liczbę specjalistów od historii najnowszej, którzy korzystając z mniejszych lub większych odwilży, usiłowali obalać ideologiczno–polityczne stereotypy i kłamstwa na temat II Rzeczypospolitej, losów Polski i Polaków w czasie drugiej wojny światowej, genezy PRL itp. Wszystko to sprawia, że historiografii z czasów PRL nie da się podkreślić grubą kreską, skazać na potępienie i zapomnienie.

Zniesienie instytucjonalnej, państwowej cenzury sprawiło, że historiografia polska wkroczyła w erę wolności od politycznych nacisków. Taki schemat myślowy wydaje się dość naiwny. Można przekornie stwierdzić, że pluralizacja życia politycznego, a także komercjalizacja historiografii spluralizowały nam ilość cenzorskich zastawek. Historyk zdany na sponsoring, chcący nie tylko wydać swą książkę, ale i zarobić na niej (etatowo wszak, nawet gdy jest już profesorem „belwederskim”, zarabia tyle, ile „przedstrajkowy” lekarz, czyli ok. jednej średniej krajowej), bezwiednie ulega czasem presji konformizmu. I wówczas pisze a to pod liberałów, a to pod konserwatystów, a to pod jednych i drugich naraz. Z historyka staje się politykiem historycznym. Oczywiście ma pewną wolność wyboru. Od niego zależy, którą cenzurę wybierze: tę, której normy wyznacza wpływowa gazeta, bogata fundacja czy aktualny rząd. A może nikomu się nie narażać i uwzględnić wymagania wszystkich potencjalnych sponsorów? Historia może być domeną komercji, ale nie powinna. Niestety, nasze czasy nie sprzyjają temu postulatowi.

W wolnym, demokratycznym świecie historyk musi być poprawny politycznie. I stara się. Kanon poprawności wyznaczają najczęściej władze polityczne, które chcą orzekać, o czym i jak należy pisać bądź nie pisać. Można tu przywołać przykład Francji, gdzie w grudniu 2005 r. ukazał się rozpaczliwy apel intelektualistów wzywających rząd do cofnięcia

kilku aktów prawnych obligujących do określonego pisania na określone tematy historyczne. Co więcej, ostatnio od przewodniczącego Komitetu Nauk Historycznych PAN Janusza Żarnowskiego uzyskaliśmy informację, że w trakcie przygotowań do kolejnego Międzynarodowego Zjazdu Historyków wysunięty został postulat wyznaczenia narodowych kanonów tematów, o których należy pisać w określony sposób i których, co więcej, nie można „b a n a l i z o w a ć”. Czy zatem postpeerelowska rzeczywistość naprawdę uwolniła nas od cenzury? Oczywiście nie ma już „Mysiej” i chwała za to naszym czasom. Czy jednak nie jesteśmy świadkami narodzin nowej formy terroru intelektualnego, któremu na imię poprawność historyczna?

PIOTR WRÓBEL

Toronto

Większość współczesnych polskich historyków odbyła studia i została ukształtowana w PRL-u. Ma to istotny wpływ na sposób, w jaki uczeni ci uprawiają historię; jak prowadzą badania, jak kształcą swoich następców i humanistów w ogóle, jak zmieniają rozumienie historii i jak to wszystko oddziałuje na politykę i kulturę w Polsce. Mogłoby się więc wydawać, że badania nad historią historiografii okresu 1945–1989 powinny być prowadzone intensywnie w wielu ośrodkach naukowych. Tymczasem, jak przypomina Rafał Stobiecki w swej najnowszej książce, studia nad „peerelowską” historiografią są zaniedbane, często grzeszą uproszczeniami oraz argumentami natury osobistej i politycznej. Czy jest to zbieg okoliczności, czy potwierdza to tezę o ciągle silnym oddziaływaniu „peerelowskiego” sposobu uprawiania historii, w którym historia historiografii była właśnie zaniedbana, czy może odbija to ogólną słabą kondycję współczesnej polskiej historiografii?

Stobiecki, profesor Uniwersytetu Łódzkiego i kierownik tamtejszej Katedry Historii Historiografii, napisał książkę skłaniającą do refleksji i dyskusji. *Historiografia PRL* jest zbiorem piętnastu esejów, w większości uprzednio publikowanych. Konstrukcja ta niesie pewne zagrożenia, na przykład w postaci powtórzeń, których jest w tekście niemało. Z drugiej strony jednak daje Autorowi dużą swobodę: nie można go oskarżyć, że źle rozłożył akcenty i złamał proporcje. Mimo że książka składa się z trzech części („Stalinizm a nauka historyczna”, „Historiografia PRL” i „PRL — życie po życiu”), punkt ciężkości położono na okresie stalinowskim i jego spuściźnie. Wiele jest więc o polskiej odmianie marksizmu po 1956 r., co wspiera tezę, że — jak ją zaprezentował profesor Andrzej Wierzbicki na okładce książki — „W gruncie rzeczy przez cały okres PRL zmutowane postaci stalinowskiego paradygmatu pokutowały w polskiej historiografii”. To jest oczywiście prawda, choć mnie, studiującemu historię na Uniwersytecie Warszawskim po

1972 r., nikt już do marksizmu nie popychał ani mi go nawet nie rekomendował. Skłaniano nas do czytania historyków obcych. Panowało przekonanie, że bez lektury Władysława Poboga-Malinowskiego nie można dostać piątki na egzaminie z historii Polski, a tak zwane prohibita były najbardziej obleganą przez ambitnych studentów częścią biblioteki wydziałowej. Paradoksalnie wydaje się, że Stobiecki, autor *Klio na wygnaniu. Z dziejów polskiej historiografii na uchodźstwie w Wielkiej Brytanii po 1945 r.* (Poznań 2005), zaniedbał intelektualny wpływ emigrantów, także tych z Francji i Ameryki, na historiografię PRL-u. A może należałoby pamiętać nie tylko o historycznej periodyzacji opisywanego zjawiska, ale także o jego znacznym regionalnym i środowiskowym zróżnicowaniu? W całej książce nie ma chyba nic o oddziaływaniu na historiografię myśli religijnej. Czy tego w ogóle w PRL-u nie było? Wydaje się także, że Autor nie docenił szoku wywołanego przez wydarzenia marca 1968 r. oraz kolosalnych zmian zainicjowanych przez Solidarność, choć sam, urodzony w 1962 r., podjął studia już w stanie wojennym.

Znakomitym pomysłem było pokazanie trzech sylwetek historyków: Henryka Wereszyckiego, który nie ugiął się przed stalinizmem, Witolda Kuli, który zawarł z nim kompromis, aby ratować swój talent i dzieło, oraz Żanny Kormanowej, złowrogiej liderki stalinizmu w Polsce. Ta ostatnia postać to symbol epoki i przypomnienie. Przez 35 lat zajmowania się historią nie przeczytałem ani jednego tekstu Kormanowej. Nigdy jej nie poznałem, ani nawet nie spotkałem, choć bywaliśmy w tym samym czasie w Instytucie Historycznym, w którym studiowałem i przepracowałem w sumie 16 lat. Moi starsi koledzy nie byli skłonni o Kormanowej mówić zbyt wiele. W ciągu moich ostatnich dwudziestu lat pracy na uczelniach Ameryki Północnej zapomniałem o Kormanowej zupełnie. Spotkałem ją znów na stronach książki Stobieckiego i przypomniałem sobie, że z punktu widzenia naukowej genealogii jestem wnukiem Kormanowej (!), gdyż mój Doktorvater u niej właśnie napisał doktorat. Pozostaje pytanie: czy ma to jednak jakieś znaczenie dla mnie i mojej interpretacji historii?

Warto by też było przypomnieć o warunkach, w jakich pracowali i żyli „peerelowscy” historycy. Jakie biblioteki mieli do dyspozycji? Co musieli robić, aby utrzymać rodziny? Co dawała „przynależność do marksizmu”? Dziś ze zdumieniem się zastanawiam, jak moi szefowie mogli żądać ode mnie dobrej pracy, nie stwarzając do niej podstawowych warunków. Nie sposób już funkcjonować w zachodniej historiografii bez rozważania roli kobiet w wydarzeniach historycznych. Dlaczego wśród pionierów stalinowskiej historii w Polsce pojawiło się stosunkowo dużo kobiet? Wiele prac historycznych powstałych w okresie PRL poddano dziś ostrej krytyce lub nawet potępiono. Czy jednak we wszystkich wypadkach udało się zastąpić je lepszymi pracami? „Lektura powojennych materiałów zjazdowych”, pisze Stobiecki (s. 208), „skłania do wniosku, że miejsce polskiej historiografii w dziejopisarstwie europejskim nie uległo znacznej zmianie”. A jak jest obecnie

z owym miejscem i w jakiej mierze jest to konsekwencja „peerelowskiego” okresu w historiografii polskiej?

Historiografia PRL zawiera obszerny aparat naukowy z imponującą liczbą cytowanych źródeł i opracowań. Uderza wśród nich znikomy procent opracowań niepolskich, a przecież warto sprawdzić, jak opisywane zjawisko widzą inni. Książki typu *Captive University. The Sovietization of East German, Czech, and Polish Higher Education, 1945–1956* (Chapel Hill 2000) pióra Johna Connelly’ego z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley bardzo by Autorowi pomogły, pokazując także, jak ważne jest porównywanie zjawisk polskich z innymi i umieszczanie ich wszystkich w szerokim kontekście.

Wielki włoski historyk Renzo De Felice pytany niegdyś o definicję faszyzmu odparł, że aby zdefiniować faszyzm, trzeba go opisać. Podobnie jest z historiografią „Peerelu”: zanim ją osądzimy, najpierw powinniśmy ją solidnie udokumentować i wnikliwie opisać. Rafał Stobiecki jest na dobrej drodze do tego celu. Napisał żywą, wyważoną, interesującą książkę, godną polecenia wszystkim, nie tylko historykom. Miejmy nadzieję, że książka ta zainspiruje innych autorów do zajęcia się historiografią PRL-u, a sam Stobiecki wyda wkrótce obszerne, systematyczne i równie ciekawe naukowe dzieło na ten temat.